

Weatherley Chesney.

SZTYLET.

(Z angielskiego tłumaczył H.).

3

Feuton podziękował serdecznie i przyjął pomoc. Otulił się aż po brodę i udał, że zasypia. Szczęśliwie cygaro też się już wypaliło, a właściciel jego, ziewnawszy kilkakrotnie głośno, wcisnął się w kąt wagonu, po chwili obwieszcza-
jąc głośnem chrapaniem, że uległ poszeptom Morfeusza.

Jakżeż zazdrośnie przyglądał mu się Feuton! I on byłby chętnie we śnie szukał spokoju i zapomnienia, ale nie mógł zasnąć. Skoro tylko znużenie zamykało mu powieki, umysł jego zaczynał na nowo pracować. Znowu widział przed sobą ciało nieszczęśliwej ofiary, kobiety, którą kochał; widział jej bladą, wykrzywioną twarz i sztylet w jej piersi. Słyszał oskarżające go słowa Bretta, a potem krzyki i wrzaski ścigających go ludzi: *Prędzej, prędzej, tu, za nim!* Już są na jego śladzie, doganiają go. *Prędzej, prędzej!* Już, już go chwytają... O, Boże! Zerwał się z krzykiem i drżał całym ciałem.

Bogu dzięki, to tylko przywidzenie senne, na razie był jeszcze wolny!

Tak przeszła mu cała noc, która wydawała się nie mieć końca. Wreszcie znalazł się rano w Leeds, nie dojechał do Manchesteru. Jakaś nieokreślona bojaźń nie pozwoliła mu. Postanowił jak najprędzej zmienić swój zewnętrzny wygląd, gdyż drżał, iż lada chwila pozna go ktoś i przytrzyma.

Wpadł do pierwszego napoitanego po drodze sklepu ze starymi ubraniami i zaproponował właścicielowi kupno fraka. Ten obrzucił go badawczem spojrzeniem i zaczął oglądać. Spojrzał jednak, że ubranie jest całę wilgotne od deszczu.

— Co mi z takiego ubrania — lamentował — cały połysk zeszedł z sukna, nie sprzedam z pewnością, moje klienty chcą tylko błyszczące fraki.

— Cóż mnie to obchodzi? — niecierpliwiał się Feuton. — Daj mi pan jakieś inne codzienne ubranie.

— A to całkiem co innego. Pan baron chce zamienić, proszę, służę bardzo. Ja myślałem, że pan chce gotówkę. Oto coś bardzo ładnego, w kratkę. Może pan zaraz zagrać sobie szach lub domino.

Feuton oświadczył, że nie ma na takie głupstwa ochoty i zarządził czegoś mniej uderzającego.

— Nie mam, panie baronie, przecież to bardzo ładne ubranie. A może pan dobrodziej włoży taki całkiem czarny, długi surdut, jakby pan chciał iść na własny pogrzeb.

Po długiem dobieraniu i przeczucaniu wybrał Feuton świąteczne suknie pocziwego mieszczanina i opuścił handlarza rozpaczającego nad kiepską zamlaną. Udał się potem do golarza i kazał sobie zgolić brodę.

Po drodze kupił wieczorną gazetę i z niepokojem przebiegł czarne szpalty.

„Straszne morderstwo w Audley Street“.

„Domniemany morderca uciekł“

rzuciły mu się w oczy wielkie głoski. Ręce drżały mu, że ledwie mógł utrzymać gazetę. Z bijącym sercem czytał o uwolnieniu kapitana, o pościgu za nim w nocy, znalezieniu sztyletu, wreszcie — zatoczył się prawie i oparł o ścianę — o ucieczkę jego do Manchesteru. Wkońcu pomieszczono jego rysopis: ciemna cera, około sześć stóp wysoki, dobrze zbudowany, oczy piwne, ciemny zarost, liczy około 30 lat, w chwili ucieczki ubrany był w strój wieczorowy, jasną żarutkę i wysoki kapelusz.

Kiedy doszedł do ostatnich wyrazów serce zamarło mu w piersiach, nieprzytomny prawie z przerażenia rozejrzał się dookoła. A może już stał ktoś za nim, kto poznał go mimo przebrania, podejrzliwie śledził jego zachowanie się i wyda? Ucieczka jego została odkryta i lada chwila mógł się spodziewać aresztowania. Nie mógł tu ani chwili pozostać. Należało znowu zmylić ślady, wprowadzić policję w błąd, ratować się, za wszelką cenę ratować. Szybko wrócił na stację. Za kilka minut odchodził pociąg do Skipton. Kupił pospiesznie bilet i dziwił się

w duchu, że urzędnik nie przypatruje mu się podejrzliwie.

Podróż do Skipton trwała krótko. A co dalej? Pieniądze były już na wyczerpaniu, nie mógł nawet myśleć o tem, aby dalej jechać. Rozumiał, że musi unikać większych miejscowości, gdzie dochodziły gazety. Powinien uciekać na wieś. Czuł, że lada chwila siły wypowiedzą mu posłuszeństwo, ale poczucie niebezpieczeństwa postawiło go na nogi. Wszedł do najbliższej restauracji i kazał sobie podać kieliszek koniaku. Silny trunk orzeźwił go o tyle, że zaczął wypytawać się kelnera o okolicę. Na podstawie jego objaśnień postanowił dostać się bocznymi drogami do Grossington, z tamtąd zaś dotrzeć do którejś z odległych wiosek, leżących zdaleka od głównych arterii ruchu. Ludność ich zapewne mało interesowała się wydarzeniami na szerokim świecie.

Zaraz wyruszył w drogę. Podniecenie wywołane wódką dodawało mu jakiś czas sił, potem jednak upadł zupełnie na duchu. Wszystkie kości bolały go tak, że zaledwie mógł się wlec naprzód. Nie miał odwagi zejść do którejś z przydrożnych gospód, gdyż obawiał się lada chwila zdradzić. Postanowił więc poszukać sobie pomieszczenia w polu. Przy świetle księżyca zauważył obok jakiejś stajni starą przybudówkę i tam skierował swe kroki. Nie miał już sił, aby przygotować sobie jakiegokolwiek postranie. Rzucił się na ziemię i po chwili zapadł w niespokojny sen.

Dzień świtał, kiedy obudził się. Straszne bóle łamały mu kości, mimo to ani na chwilę nie zatracił świadomości swego położenia. Dalej, dalej uciekać, zanim pogoń go doścignie. Zebrał więc ostatnie siły i opuścił szopę. Rozpoczął dalej swą pielgrzymkę. Włókł się resztkami energii, siły opuszczały go coraz bardziej, a niedostatek ostatnich dni coraz bardziej go obezwładniał. Kiedy tak dążył drogą, dogonił go wóz węglarza. Zawołał na woźnicę i prosił, aby go podwiózł kawałek. Ten przyjrzał się podejrzliwie obcemu wędrowcowi, ale znaczna zapłata, obiecana mu, była tak kusząca, że uczynił zadość jego prośbie. Feuton wydrapał się na wóz i ułożył się na jednym z worków, którymi węgiel był przykryty. Tak przepędził kilka godzin prawie bez ruchu, napół przytomny. Dojechali w ten sposób do małego miasteczka Kilusey i Feuton pozostał znowu sam na ulicy. Postanowił przedewszystkiem zdobyć trochę pożywienia, gdyż siły opuściły go prawie zupełnie. W oddali spostrzegł nawet gospodę. Drzwi jej były na oścież otwarte, zapraszając do wnętrza. Właśnie kierował już ku nim swe kroki, kiedy nagle uskończył w bok przerażony i śmiertelnie blady. Z szynku wychodził policyant. Czego szukał ten stróż sprawiedliwości tutaj?

I to właśnie w tej zapadłej dziurze? Choćbyliw rozdrażnienie pobudziło jego fantazję i dało mu wewnętrzne odpowiedzi na te pytania: policyant szuka go i wypytuje ludzi. Węglarz potwierdził podejrzenia przeciw niemu. Wszystko sprzysięga się, aby go zgubić. Lęk podrzucił go jakby prąd elektryczny; zmęczenie gdzieś uleciało, popędził jak ścigany zwierz pustą ulicą włoski. Dokąd zajdzie tą drogą, gdzie się ukryje, było mu zupełnie obojętne.

Zaledwie znalazł się za wsią, napięcie nerwów przeszło, a opanowujące go coraz bardziej zmęczenie zmusiło go do zwolnienia kroków. Wreszcie włókł się już znowu ostatkiem sił. W dodatku deszcz, który od rana wisiał na nieboskłonach, rozpadał się na dobre i lał strumieniami. Należało mimo wszelkie obawy znaleźć kawałek dachu nad głowę. Rozejrzał się dookoła i spostrzegł w oddali stodołę, w której wieśniacy przechowywali siano. Nic innego nie było, jak daleko okiem sięgnął. To też przyspieszył kroku i po chwili legł we wnętrzu jej, przemoczony do koszu.

Tutaj przepędził całe popołudnie. Leżał pół martwy, nieczuły na wszelkie wrażenia. Kiedy jednak wieczór zaczął zapadać, głód i dotkliwie zimno wypędziło go z ukrycia. Natura coraz energiczniej domagała się swych praw. Musiał je zaspokoić, jeżeli nie chciał zginąć. Zebrałszy ostatnie siły, powłókł się powoli dalej. Zaledwie uszedł pół godziny drogi, musiał odpocząć, gdyż nogi wypowiadały mu posłuszeństwo. Wtem o nieba! W oddali błysło światelko, nareszcie jakaś ludzka sadyba. Tam więc poszuka ocalenia! Nie zastanawiając się nad tem, czem usprawiedliwi nagle swe pojawienie się, podążył naprzód. Los jednak sprzysięgnął się prze-

ciw niemu. Deszcz ustał wprawdzie, ale zamienił całą drogę w głęboką kałużę błota. Jak pijany zataczał się Feuton, bledząc w lepkiej mazi drogi, z każdym krokiem zapadając się coraz głębiej. Światła błyszczwały ciągle bardzo daleko, nie zbliżały się wcale, przeciwnie, jak błędne ogniki, zwodziły go tylko swym blaskiem. Wreszcie zrozumiał, że do do nich nigdy nie dojdzie.

W pobliżu nie było innego domu, gdzieby się mógł schronić. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa, a głowa pękała z bólu. Wreszcie padł na ziemię z okrzykiem rozpacz, gęste błoto bryzgało naokół. Stracił przytomność. Tak znalazł nareszcie zapomnienie swego straszego położenia.

* * *

Mineło dwa dni. Feuton odzyskał przytomność. Kiedy po raz pierwszy otworzył oczy, spostrzegł, że znajduje się w obcej sypialni. Mimowoli wyrwał mu się okrzyk zdumienia, bardzo cichy wprawdzie, poruszył on jednak jakąś starszą damę, która podbiegłszy do jego łóżka, stanęła przy nogach jego.

— No, chwala Bogu, wreszcie mamy pana! Traciłam już nadzieję, gdyż źle było z panem. Lepiej pan jeszcze nie mów, wypij to oto i spróbuj zasnąć. Gdy mąż wróci, wszystko panu wyjaśni.

Feuton chętnie usłuchał dobrej rady i zasnął ponownie.

Kiedy po raz drugi się obudził, powitał go miły widok. U stóp łóżka siedział ten sam poważny jegomość, który z nim podróżował do Manchesteru. Feuton aż krzyknął ze zdumienia, a starsuszek cieszył się przez chwilę jego zdziwioną miną.

— Tak, tak, młody przyjacielu, tylko się pan dziwi! To ja, naprawdę ja. Nie przypuszczałem wtedy w Manchester, że w kilka dni znajde pana na mojej koniczynie śmiertelnie chorego. Poznałem cię natychmiast, mimo iż zmieniłeś ubranie i zgoliłeś brodę. Wiem, że pan znajdujesz się w ciężkim położeniu, wywnioskowałem to z pana słów, wyrzeczonych w gorączce. No, no! — uspokajaj go, gdy Feuton poderwał się przestraszony — nikt tego nie słyszał. oprócz mej żony i sługi, który pomagał przy przeniesieniu pana do domu. Ale ten nic nie powie, postarałem się już o to.

— Co ja takiego mówiłem? — dopytywał się Feuton trwożliwie.

— Ach, mój drogi, tego było tak wiele i same waryactwa. Zaczęło się, ma się rozumieć, od dziewczyny. Tak przecież zawsze bywa, a młody pan widocznie ją bardzo lubił. Potem wołał pan „morderca“, tak, tak, „morderca“ i wspominał pan o jakimś szklannym sztylectie, czy coś podobnego. Miał pan nawet napady szału; raz chciał pan koniecznie odejść, a właściwie uciec. Mieliśmy we troje tę robotę, aby pana w łóżku utrzymać.

Feuton aż usiadł na łóżku z przerażenia.

— Boże! jestem zgubiony.

— Połóż się pan spokojnie z powrotem — powiedział farmer i zmusił go delikatnie do ułożenia się na poduszkach — u mnie nie potrzebuje się pan niczego obawiać, bez względu na to, jaki czyn pan popełnił. I ja miałem syna, a i ty młodzieńcze pewnie masz matkę.

Feuton w milczeniu uściśnął z wdzięcznością dłoń pocziwca.

— Już dobrze, już dobrze — bronił się starsuszek — teraz spij pan przedewszystkiem, jakbyś pan był u siebie w domu we własnym łóżku.

Jeszcze nie skończył mówić, gdy na dole dały się słyszeć ciężkie kroki i ktoś, kto widocznie podpił sobie trochę ponad miarę, zaprotestował przerywanym głosem: „Nie można braciśzku, nie moge na to pozwolić, odejść, zanim mój pan nadejdzie“.

— Głupstwo, Janie, muszę iść na górę i zobaczyć go — odpowiedział jakiś drugi stanowczy głos.

Farmer podskoczył ku drzwiom. Zanim jednak do nic dobiegł, stanął w nich olbrzymiego wzrostu policyant. Spojrzał badawczo na Feutona i oświadczył:

— Jerzy Fentonie, aresztuję cię jako silnie podejrzanego o zamordowanie Harriety Staples.

(Ciąg dalszy nastąpi).